

Polska przed cywilizacyjnym i egzystencjalnym wyzwaniem – czy znajdziemy w sobie siłę?



PROF. MARIUSZ ORŁOWSKI

Virginia Tech University, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Świat wchodzi w fazę gwałtownego przesilenia – stare porządki się rozpadają, a nowe dopiero się kształtują. Dla Polski oznacza to konieczność ponownego zdefiniowania własnego miejsca w globalnym układzie sił. W świecie, w którym Europa traci znaczenie, Azja zyskuje przewagę, a technologia przestawia gospodarki na nowe tory, przetrwanie i rozwój wymagają nie tylko sprawnej strategii państwa, lecz przede wszystkim dojrzałości społeczeństwa. Nadchodzące dekady zadecydują, czy Polska pozostanie peryferyjnym wykonawcą cudzych decyzji, czy stanie się świadomym, podmiotowym graczem w epoce końca starego porządku.

Stoimy dziś u progu przemian, których znaczenie dla Polski może okazać się porównywalne z przełomami I i II wojny światowej, a dla całego Zachodu – sięgać korzeniami pięciu stuleci wstecz, do czasów kształtowania się obecnego układu globalnej dominacji. Dotychczasowe filary bezpieczeństwa i rozwoju świata zachodniego chwieją się na naszych oczach, a nowy porządek dopiero wyłania się z chaosu – nieokreślony, pełen napięć i sprzeczności. Wobec tych zmian potwierdza się trafność maksymy L. A. de Saint-Justa, że „obecny porządek jest nieporządkiem przyszłości”. W tej sytuacji konieczna jest gruntowna analiza naszego położenia oraz dostosowanie polityki państwa do nowych realiów, które coraz wyraźniej rysują się na globalnej scenie.

Jednym z najbardziej wymownych sygnałów tych zmian był ostatni szczyt państw Szanghajskiej Organizacji Współpracy w Nankinie. Podczas tego wydarzenia odbyło się wspólne posiedzenie gabinetów Rosji i Indii, podczas którego podkreślono „szczególne, uprzywilejowane stosunki” między tymi krajami. Mimo presji ze strony Stanów Zjednoczonych Indie i Rosja nie tylko nie ograniczyły współpracy, lecz przeciwnie – zacieśniają ją w obszarze handlu, gospodarki i wojska. Symboliczny był gest W. Putina i N. Modiego, którzy przeszli kilkadziesiąt metrów, trzymając się za ręce, niczym para bliskich przyjaciół. Równie serdeczne było spotkanie Putina z gospodarzem szczytu, prezydentem Chin, podczas którego potwierdzono, że zakres współpracy rosyjsko-chińskiej pozostaje

„nieograniczony”. Podpisano dziesiątki porozumień gospodarczych, takich jak syberyjski gazociąg przez Mongolię do Chin, a obserwatorzy podkreślali także znaczące zbliżenie na linii Chiny–Indie. Hinduscy dyplomaci przyznawali w kuluarach, że ich krajowi jest dziś znacznie bliżej do Pekinu niż do Waszyngtonu.

W czasach, gdy stary porządek traci kształt, a nowy dopiero się rodzi, największym kapitałem państwa staje się zdolność chłodnej analizy i odwaga myślenia poza utartymi schematami.

W nowym układzie sił Unia Europejska nie została praktycznie w ogóle wspomniana – w oczach wielu uczestników szczytu pozostaje aktorem marginalnym na arenie międzynarodowej. Zachodnie media, które rzadko i z niechęcią odnotowują sukcesy tych trzech państw, tym razem pospiesznie przyznały, że „Xi nakreśla nowy porządek świata” („Frankfurter Allgemeine Zeitung”), i „powstaje nowy koncert mocarstw” (Handelsblatt). Rzeczywiście, jesteśmy świadkami politycznej i gospodarczej konsolidacji kontynentu azjatyckiego, brzemiennej w skutkach dla całego świata.

Tymczasem Europa, a w szczególności Niemcy, zdają się same ograniczać swój wpływ na globalną grę polityczną. Kanclerz F. Merz wciąż grozi Rosji, deklarując, że celem zarówno niemieckiej, jak i francuskiej polityki jest wprowadzenie Ukrainy – w granicach z 1991 roku – do NATO. Minister spraw zagranicznych J. Wadepuhl posunął się nawet

do stwierdzenia, że Rosja „na zawsze pozostanie wrogiem Niemiec”. Nic więc dziwnego, że gdy wicekanclerz L. Klingbeil próbował niedawno zabiegać o spotkanie z Putinem, Kreml jasno dał do zrozumienia, iż nie jest nim zainteresowany.

Przyspieszone procesy geopolityczne mają bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo i dobrobyt Polski. Kraj znajduje się w punkcie zwrotnym, a obecne decyzje polityczne przesądzą, czy Polska pozostanie biernym obserwatorem tych przemian, czy też stanie się aktywnym uczestnikiem ich kształtowania – w ramach, które są realnie dostępne. Wymaga to jednak odejścia od myślenia życzeniowego i politycznie poprawnych założeń, przeprowadzenia pogłębionej analizy trendów geopolitycznych oraz zdefiniowania własnych interesów w coraz bardziej wielobiegunowym świecie.

Polska w zmieniającym się układzie sił: analiza strategiczna

Choć członkostwo w Unii Europejskiej i NATO bez wątpienia podniosło pozycję gospodarczą Polski, trwałość naszej niezależności pozostaje wątpliwa. Międzywojenna suwerenność, naznaczona wewnętrznymi podziałami i zewnętrznymi zagrożeniami, jawi się dziś jako nieosiągalny, a zważywszy na jej tragiczny upadek – również mało atrakcyjny ideał. Polska przypomina obecnie szachistę zepchniętego do narożnika: gospodarka jest strukturalnie uzależniona od Niemiec, swoboda strategicznego działania – krępowana przez rozbudowane ramy regulacyjne UE, a bezpieczeństwo opiera się na niepewnych gwarancjach amerykańskiej ochrony. Niedawna, wysoce spekulatywna obietnica kanclerza Merza, by uczynić Bundeswehrę

najpotężniejszą siłą zbrojną Europy, przynosi niewielkie poczucie bezpieczeństwa – budząc raczej historyczne obawy niż zaufanie.

Polska stoi dziś w narożniku geopolitycznej szachownicy – wciąż w grze, lecz ograniczona ruchami silniejszych graczy, których decyzje wyznaczają granice naszej suwerenności.

Słabnąca pozycja Unii Europejskiej

Unia Europejska, której – obok własnej pracy – zawdzięczamy dynamiczny rozwój po 1989 roku, stopniowo traci grunt pod nogami i pogrąża się w coraz trudniejszej sytuacji geopolitycznej. Jej gospodarka, skrępowana gęstwiną przepisów, wymogami Zielonego Ładu i rosnącym zacofaniem technologicznym, nie tylko przestała się rozwijać, lecz popadła w stagnację. Najdobitniejszym symbolem tej słabości stała się niedawno podpisana umowa handlowa z USA – skrajnie asymetryczna i niekorzystna dla Europy: cła na towary amerykańskie zniesiono, podczas gdy większość europejskiego eksportu obciążono stawkami sięgającymi 15%, a w przypadku stali i aluminium nawet 50%. Dodatkowo Europa zobowiązała się do zakupu amerykańskich węglowodorów za astronomiczną sumę 750 miliardów dolarów w ciągu trzech lat oraz do inwestycji i zakupów zbrojeniowych na kolejne setki miliardów.

Tę zewnętrzną marginalizację pogłębiają problemy wewnętrzne państw członkowskich. Rządy kluczowych dla UE krajów działają pod presją kryzysów politycznych: w Niemczech gabinet Friedricha Merza traci poparcie, a eurosceptyczna AfD dogania CDU; we

Francji, Hiszpanii i Holandii rosną siły, które wprost podważają sens integracji europejskiej. Jeśli w 2027 roku wybory we Francji wygra przedstawiciel partii Marine Le Pen, to fundamenty UE mogą się poważnie zachwiać. Niektórzy analitycy idą dalej, przewidując, że Unia może podzielić los ZSRR i rozpaść się w perspektywie dekady.

W tej sytuacji Polska dryfuje na coraz bardziej niestabilnych wodach. Polexit jest dziś nierealny – gospodarka, zwłaszcza w relacjach z Niemcami, jest zbyt silnie związana z Unią – jednak możliwe są scenariusze, w których inne państwa opuszczą Wspólnotę i dołączą do struktur BRICS lub powiążą się gospodarczo z Chinami, Wielką Brytanią bądź właśnie z BRICS. W takim niebezpiecznym układzie Polska mogłaby zyskać nowe perspektywy, stając się potencjalnym węzłem Nowego Jedwabnego Szlaku, przesuwając tym samym centrum ciężkości Europy na wschód.

Jednocześnie globalny układ sił ulega przyspieszonej transformacji. Chiny, Indie, Indonezja i inne państwa Azji Południowo-Wschodniej stają się nowymi biegunami światowego ładu. Podczas gdy Rosja dokonuje zwrotu ku Azji, a Stany Zjednoczone miotają się między strategiami powstrzymywania a odprężenia. Polska znalazła się w geopolitycznym pięciokącie presji, którego wierzchołki to:

- 1) realne zagrożenie rosyjskie, które wymaga kalkulacji zamiast emocji;
- 2) zachodnia narracja o rosyjskim niebezpieczeństwie, często instrumentalizowana;

Europa, która przez dekady była centrum świata, dziś coraz częściej traktowana jest jak globalna peryferia – nie dlatego, że zabrakło jej zasobów, lecz dlatego, że utraciła zdolność myślenia i działania w kategoriach siły.

- 3) kolizyjne stosunki z Ukrainą – z jej roszczeniami i nieprzewidywalną dynamiką;
- 4) dominacja Niemiec w UE, przemilczana w debacie publicznej;
- 5) zmienność priorytetów USA i związana z tym, coraz bardziej iluzoryczna rola globalnego „protektora”.

Geostrategiczne dylematy i możliwe kierunki działania

Wobec takiego krajobrazu strategicznego Polska stoi przed trudnym zadaniem nawigowania po burzliwym morzu geopolityki. Musimy omijać rafy rywalizacji mocarstw, gdzie rosyjskie zagrożenie bywa wyolbrzymiane, niemiecka dominacja pozostaje przemilczana, a amerykańskie gwarancje mogą okazać się zmienne i warunkowe. Polska zmuszona jest w tych warunkach do nieustannego balansowania: jej rola „przedmurza” często służy interesom Zachodu, ale nie zawsze pokrywa się z własnymi interesami narodowymi.

W tym kontekście nawet najbardziej heretyckie scenariusze wymagają analizy: co, jeśli USA wycofają się z Europy? Co, jeśli Rosja i Niemcy odnowią tradycję historycznych porozumień? Czy kraje południa Europy byłyby skłonne bronić naszych granic? Czy alternatywą są sojusze regionalne – jak Grupa Wyszehradzka – które dotąd nie przekładały się na podniesienie poziomu realnego bezpieczeństwa?

Strach przed Rosją jest w debacie publicznej często wyolbrzymiany. Potencjalny konflikt, jeśli miałby się rozegrać, toczyłby się w strefie buforowej – obejmującej Polskę, Białoruś, Ukrainę, Słowację, Czechy i Rumunię – ale niekoniecznie musiałby być naszym świadomym wyborem strategicznym. W dłuższej perspektywie zagrożenie dla Europy może nadejść nie tyle ze wschodu, ile z południa – z Afryki, której populacja w ciągu niespełna wieku wzrosła z połowy europejskiej do ponad 2,5-krotności, a do końca stulecia może ją przewyższyć dziesięciokrotnie.

Historia uczy, że dogmatyzm i polityczna poprawność bywają kosztowne. Oficjalna polityka często nie może takich rozważań prowadzić otwarcie, jednak strategiczne kalkulacje muszą obejmować również scenariusze uznawane dziś za niewyobrażalne. Polska powinna nie tylko reagować, lecz także aktywnie kształtować swoje środowisko bezpieczeństwa – oferując głównym graczom własne inicjatywy, na przykład w postaci nowego „hexagonale” obejmującego Szwecję, Czechy, Słowację, Węgry, Bułgarię, Rumunię, a nawet Turcję. Taki format mógłby wzmocnić naszą pozycję w regionie i stworzyć przeciwwagę dla obecnych układów zależności.

Zasadne staje się pytanie, jakie działania prewencyjne należy podjąć w sytuacji, którą trafnie diagnozują niektórzy polscy eksperci, w tym prof. Bogdan Góralczyk. Ten wytrawny znawca cywilizacji chińskiej zauważa, że Polska i Europa dopiero powoli i niechętnie przebudzają się z „geopolitycznej drzemki”, wciąż jednak pozostając w półśnie¹. Wskazuje

¹ B. J. Góralczyk, *Polska w nowym światowym (nie)ładzie*, „Pomorski Thinkletter” nr 2(21)/2025, [dostęp online].

przy tym na konieczność podważenia dotychczasowych „bezalternatywnych ścieżek rozwoju”. Ubolewa, że „duopol PO i PiS” podporządkowuje rację stanu partyjnym interesom, a za nimi – często sprzecznym ideologiom i wizjom przyszłości Polski. Zauważa bezstronnie, że „straciliśmy azymut, a polaryzacja wzrosła”, co nieuchronnie wynika z przeczucia, iż „stary porządek już nie działa, a nowy jeszcze się nie wyłonił”. Profesor kończy swój esej wezwaniem „do zbudowania narodowej jedności i podjęcia na nowo próby zdefiniowania, na czym polega nasza racja stanu”.

Polska potrzebuje dziś mniej emocji, a więcej kalkulacji – nie kolejnych wielkich narracji, lecz chłodnej strategii, która pozwoli odróżnić własny interes od cudzych ambicji.

Podpisując się pod tą wnikliwą i wyważoną analizą, należy jednak stwierdzić, że osiągnięcie pełnej jedności narodowej jest dziś dla Polaków celem bardzo odległym – jeśli nie wręcz nierealnym. Powodem nie jest jedynie ostra polaryzacja między głównymi obozami politycznymi, dodatkowo podsycana zarówno przez czynniki zewnętrzne, które w dobrej wierze próbują korygować nasze wewnętrzne procesy, jak i przez te działające jawnie lub niejawnie wrogo. Przyczyną są przede wszystkim głębsze uwarunkowania psychologiczne, mentalne i intelektualne społeczeństwa. Brak odpowiedniej przestrzeni wyobraźni w tych obszarach sprawia, że jako naród nie zawsze dostrzegamy złożoność otaczającego nas świata ani w pełni nie rozumiemy własnych interesów i szans.

Prowadzi to niekiedy do reakcji impulsywnych, stereotypowych, krótkowzrocznych i nadmiernie emocjonalnych – zamiast do działań opartych na rzetelnej analizie rzeczywistości, która dopiero może stać się fundamentem dla refleksji, pragmatyzmu i długofalowej wizji.

W tej sytuacji bardziej zasadne wydaje się poszukiwanie rozwiązań pośrednich – rozwijanie tego, czym już dysponujemy, w sposób pragmatyczny, możliwie odpolityczniony i odporny zarówno na chwilowe nastroje, jak i na zewnętrzne naciski.

Rozwój gospodarczy: odporna sieć klastrów kontra kruche centrum

W obliczu niepewności geopolitycznej i geogospodarczej Polska stoi przed koniecznością gruntownego przemyślenia swojej przyszłej strategii rozwoju technologicznego i gospodarczego. Dotychczasowe modele planowania – oparte na założeniu stabilnego rozwoju Unii Europejskiej, przewidywalności łańcuchów dostaw i względnym bezpieczeństwie porządku światowego – mogą w każdej chwili ulec zachwianiu, co znajduje potwierdzenie w naszej historii. Wystarczy przypomnieć rok 1918, kiedy odzyskanie niepodległości wymusiło nie tylko odbudowę struktur państwowych z trzech rozdartych połąci kraju, lecz przede wszystkim organiczną pracę u podstaw – inwestowanie w rodzime zasoby, edukację, przemysł i kulturę gospodarczą. Dziś, w warunkach rosnących napięć globalnych, ta lekcja wydaje się niezwykle aktualna: musimy budować odporność społeczeństwa i gospodarki, aby w każdej sytuacji móc liczyć na własne siły.

Kluczowe znaczenie ma wybór odpowiedniego modelu organizacji życia gospodarczego. Do rozważenia są dwie zasadnicze koncepcje. Pierwsza – model piasty i szprych (*hub-and-spoke*) – to scentralizowany system, w którym jeden dominujący ośrodek pełni funkcję centrum dystrybucji, na podobieństwo francuskiego kolbertyzmu. Taki układ sprzyja koncentracji kapitału, wiedzy i infrastruktury, ułatwia strategiczne planowanie i pozwala na realizację dużych inwestycji centralnych, takich jak planowany Centralny Port Komunikacyjny (CPK). Ma jednak zasadniczą wadę – jest wrażliwy na wstrząsy. Gdy centrum zawodzi, cała struktura może ulec paraliżowi. Przykłady z ostatnich lat – opóźnienia w realizacji CPK, polityczne spory blokujące wielkie inwestycje (np. w energetykę jądrową) czy drenaż mózgów z mniejszych miast do Warszawy – pokazują, że ten model, w warunkach polskiej zmienności politycznej i zewnętrznych ingerencji, niesie ze sobą ryzyko dysfunkcji i uzależnienia od jednego punktu w systemie.

Właściwsze wydaje się zatem podejście hybrydowe – strategiczne połączenie obu modeli w zależności od obszaru gospodarki. W newralgicznych sektorach infrastruktury fizycznej, gdzie skala ekonomii odgrywa kluczową rolę, zastosowanie może znaleźć zmodyfikowany, wielowęzłowy model piasty i szprych. Centralny Port Komunikacyjny mógłby pełnić rolę głównego, lecz nie jedyne węzła transportu lotniczego – koordynując krajowe i międzynarodowe przepływy pasażerskie oraz towarowe w ścisłym powiązaniu z wyspecjalizowanymi terminalami przeładunkowymi w portach bałtyckich, a także w Małaszewiczach i Sławkowie. CPK może stać się również polską

ofertą dla Azji, Afryki i obu Ameryk, otwierając okno na handel i wymianę gospodarczą z Europą Środkową.

Jednocześnie absolutnie niezbędne jest budowanie równoległych, silnych i redundantnych korytarzy transportowych, które same w sobie tworzą kręgosłup kraju. Kluczowy jest tu choćby korytarz północ-południe, łączący Gdynię i Gdańsk przez Warszawę i aglomerację śląską z Czechami, Austrią i Bałkanami aż po Grecję – równoległe do trasy Via Carpathia. Taka konfiguracja łączy efektywność scentralizowanego zarządzania kluczowymi węzłami z większą odpornością, dzięki multipleksowaniu połączeń i możliwości omijania punktów awaryjnych.

Zupełnie odmienną filozofię należy przyjąć dla fundamentów nowoczesnej, odpornej gospodarki: technologii cyfrowych, sztucznej inteligencji, innowacji i systemu energetycznego. W tym obszarze właściwym modelem jest rozproszona, zdecentralizowana sieć. Model sieciowy, oparty na wielu połączonych węzłach, jest znacznie bardziej odporny na wstrząsy – awaria jednego elementu nie unieruchamia całości. Przykładem może być niemiecki system *Dezentralisierte Exzellenz* („zdecentralizowanej doskonałości”), w którym Berlin, Monachium, Hamburg, Stuttgart, Frankfurt nad Menem i inne ośrodki tworzą spójną, policentryczną strukturę innowacji i przemysłu.

Polska nie potrzebuje – i nie jest w stanie – zbudować jednego „Silicon Valley”. Warunki nie sprzyjają tak scentralizowanym, kapitałochłonnym przedsięwzięciom, ponieważ kapitał wysokiego ryzyka jest ograniczony,

a budowa fabryk półprzewodników na miarę TSMC przekracza nasze możliwości finansowe. Zamiast tego potrzebujemy wielośrodkowej, tętniącej życiem mozaiki, w której każdy węzeł specjalizuje się w tym, w czym jest najlepszy, a wszystkie są ze sobą ściśle połączone zaawansowaną infrastrukturą światłowodową.

Taki poligon dla innowacji de facto już istnieje – należy go jedynie świadomie wzmacniać:

- Kraków – z potencjałem w zakresie cyberbezpieczeństwa (CYBERSEC HUB, AGH) i enterprise software (IBM Software Lab) oraz z Gaia AI Factory, która powstanie przy Akademii Górniczo-Hutniczej;
- Wrocław – z potencjałem w zakresie AI (Google Cloud, PWr.ai) i zapleczem matematycznym;
- Gdańsk – z przedsiębiorstwami z branży FinTech (Nord Security, Trinity) i ośrodkiem zaawansowanych prac badawczo-rozwojowych Intel'a;
- Poznań – z dynamiczną sceną startupową (StethoMe, Autenti), software house'ami, jak Netguru oraz Poznańskim Centrum Superkomputerowo-Sieciowym, przy którym powstanie PIAST AI, fabryka AI stanowiąca część europejskiej sieci Euro HPC JU;
- Szczecin – z rozwojem rozwiązań chmurowych (Asseco Cloud), IoT oraz kwaterą NATO ds. cyberbezpieczeństwa;
- Lublin – z rosnącym zapleczem usług IT i środowiskiem akademickim.

Warszawa naturalnie pełni rolę największego skupiska kapitału i talentu, jednak w modelu sieciowym jej ewentualne problemy nie sparaliżują krajowej gospodarki – inne ośrodki będą w stanie przejąć część jej funkcji lub kontynuować pracę autonomicznie.

Ta technologiczna sieć powinna być budowana w oparciu o rodzime, sprawdzone atuty, a nie ślepe naśladownictwo. Polska dysponuje wybitnymi matematykami i informatykami, wysokiej jakości szkolnictwem technicznym, silną bazą produkcyjną (24% PKB pochodzi z przemysłu) oraz zapleczem badawczym w dziedzinach takich jak sztuczna inteligencja, cyberbezpieczeństwo, obliczenia kwantowe czy zaawansowana inżynieria danych.

Zamiast marzyć o kopiowaniu Kalifornii, powinniśmy kapitalizować te talenty, skupiając się na niszach, w których mamy realną i udokumentowaną przewagę:

- zaawansowana inżynieria oprogramowania,
- sztuczna inteligencja stosowana w przemyśle,
- cyberbezpieczeństwo (wzmacniane obecnością NATO w Szczecinie),
- obliczenia kwantowe (światowy poziom badań na Uniwersytecie Warszawskim).

Należy stanowczo unikać obszarów wymagających niewyobrażalnych nakładów kapitałowych i skoncentrować się na warstwach software'owych i algorytmicznych, gdzie wartość dodana jest najwyższa, a koszty wejścia – przy dostępie do talentu – relatywnie niskie. Te atuty trzeba wzmacniać poprzez inwestycje w sieci 5G i światłowody, ulgi podatkowe dla centrów badawczo-rozwojowych w miastach drugiego rzędu, programy zatrzymywania talentów oraz stabilną, ponadpartyjną politykę gospodarczą.

Równolegle absolutnie kluczowym elementem odporności jest zdecentralizowany i niezawodny system energetyczny. W tym obszarze szansę stanowią małe, modułowe reaktory jądrowe (SMR), rozmieszczone

w różnych strategicznych lokalizacjach kraju. Taka rozproszona generacja uniezależnia nas od awarii pojedynczego wielkiego bloku, zmniejsza straty przesyłowe i radykalnie zwiększa bezpieczeństwo dostaw dla kluczowych ośrodków przemysłowych oraz technologicznych, zapewniając im niezbędną stabilność.

Jednocześnie należy myśleć w kategoriach współpracy międzynarodowej, ale bez naiwności. Z Niemcami – budować partnerstwa oparte na współwłasności praw własności intelektualnej, nie ograniczając się jedynie do roli podwykonawcy. Z krajami bałtyckimi – korzystać z ich przewag w zakresie cyfryzacji i cyberobrony. Szczególnie cenna może być współpraca z Estonią, która dzięki systemowi X-Road (bezpieczna, rozproszona platforma wymiany danych łącząca różne rejestry bez centralnego magazynu informacji) oraz rozwiniętemu e-rządowi, opartemu na silnej tożsamości cyfrowej i podpisie elektronicznym, udostępnia większość usług publicznych online – z pełną audytowalnością i wysokim poziomem zaufania społecznego. Z państwami azjatyckimi – inwestować selektywnie, unikając nadmiernego uzależnienia od Chin i przenosząc bardziej ryzykowne komponenty do Indii, Wietnamu, Indonezji czy Malezji. Z USA – korzystać z kapitału i know-how, ale przy zachowaniu suwerenności danych oraz infrastruktury krytycznej.

Dalsza wizja Polski jako centralnego „hubu” czy „piasty” Europy Środkowej pozostaje kusząca, lecz w obliczu geopolitycznej niepewności jest rozwiązaniem zbyt ryzykownym i kruchym. Znacznie bardziej

odporną i realistyczną przyszłość zapewni model „Szwajcarii mostów cyfrowych” – policentrycznej, świetnie skomunikowanej wewnętrznie sieci specjalistycznych węzłów, które modularnie i elastycznie współpracują z różnymi partnerami.

Polska może wyjść z roli przedłużonej linii montażowej dla cudzych gospodarek, i stać się państwem sieciowym – zdolnym do samoregulacji, elastycznym i odpornym na wstrząsy, a jednocześnie gotowym do szybkiego wzrostu, gdy warunki sprzyjają.

Trwała siła gospodarki nie rodzi się z potęgi jednego centrum, lecz z dojrzałości społeczeństwa zdolnego współpracować w sieci wielu silnych, połączonych ze sobą ogniw.

To strategiczne połączenie centralistycznej efektywności w logistyce i transporcie z siecią, organiczną odpornością w technologii i energetyce tworzy hybrydę zdolną stawić czoła przyszłości. Jest to strategia głęboko zakorzeniona w historycznej lekcji pracy organicznej, która uczy, że prawdziwa, trwała siła nie leży w jednym, nawet najpotężniejszym, lecz podatnym na uderzenia punkcie, ale w dynamicznym i inteligentnym splocie niezależnych, silnych i ściśle współpracujących ze sobą ogniw.

Taki model – hybrydowy, elastyczny i wielowarstwowy – nie gwarantuje pełnej niezależności, lecz znacząco zwiększa szanse na przetrwanie i rozwój w epoce niepewności. Polska nie musi dążyć do dominacji w pojedynczej dziedzinie, by

odgrywać znaczącą rolę gospodarczą. W ekonomii, podobnie jak w biologii, sprawdza się obserwacja Darwina: przetrwa nie ten najsilniejszy czy największy, lecz ten, kto najlepiej potrafi przystosować się do zmian.

Kluczowe znaczenie ma zatem strategiczne umiejscowienie w globalnych łańcuchach wartości – wystarczy zajmować w nich silną, stabilną pozycję, wspartą unikalnymi kompetencjami w wybranych niszach technologicznych. Oto siła rozproszenia – fundament odpornego modelu gospodarczego, zdolnego do przekształcania wyzwań w szanse.

Polska pułapka mentalna na drodze do realistycznej oceny własnej sytuacji

Jak mówi znane powiedzenie „pierwszy krok do uleczenia choroby to jej trafna diagnoza”. Dlaczego jako społeczeństwo mamy tak duży problem z realistyczną oceną własnej pozycji w szybko zmieniającym się świecie, w którym stary porządek odchodzi w przeszłość, a nowy jeszcze się nie ukonstytuował? I dlaczego, pomimo deklarowanego pragnienia jedności narodowej oraz postulatów – takich jak te formułowane przez prof. Bogdana Góralczyka – w mojej pesymistycznej ocenie, wciąż nie jesteśmy w stanie jej osiągnąć?

Główną przeszkodą są nie tylko wewnętrzne rozdarcie i zewnętrzny zgiełk konkurencyjnych narracji atakujących Polskę, lecz także głęboko zakorzeniona słabość naszej zbiorowej mentalności. Aby sprostać tym wyzwaniom, musimy najpierw zrozumieć własne ograniczenia i słabości. Kongres Obywatelski był jedną z pierwszych inicjatyw, które słusznie poświęciły tej tematyce wiele uwagi.

Mentalnym fundamentem tego rozdarcia jest głęboko zakorzeniony kompleks niższości – poczucie, że pochodzimy z „gorszego” kraju. Jak trafnie diagnozuje to zjawisko Piotr Sztompka (2000), jesteśmy kulturowymi spadkobiercami *Homo Sovieticus 2.0* – człowieka zawieszzonego między wstydem za przeszłość a desperacką potrzebą zachodniej akceptacji. To psychiczne zawieszenie generuje trwałe poczucie niedowartościowania i zbiorową, podświadomą niepewność co do własnej tożsamości oraz równorzędności wobec Zachodu.

Reakcją obronną na tę traumę jest ucieczka w materialną konsumpcję, co można łatwo zaobserwować, gdy patrzy się na współczesną Polskę świeżym okiem z zewnątrz. Zamożność rośnie, ale wraz z nią – pustka duchowa. Jak trafnie ujął to Zygmunt Bauman (2007): „Konsumpcja jest nową religią, a centrum handlowe – jej katedrą. Ale nawet najdroższe auto nie wypełni dziury po godności.”

Im bardziej zabiegamy o zewnętrzną akceptację poprzez naśladowanie atrybutów Zachodu, tym silniej utrwalamy w sobie poczucie niższości. Nosimy maskę, by zasłonić kolektywny wstyd – wstyd przed własną polskością. Pod tą maską kryje się pragnienie stłumienia pustki, bólu i deficytu wartości własnej. Brak poczucia bycia równorzędnym, pełnowartościowym partnerem Zachodu prowadzi wprost do „syndromu nadmiernej kompensacji” (T. Domański, 2022) – głośnego, często nieproporcjonalnego dowartościowywania się poprzez namiastki statusu, które mają przykryć głęboko ukrywane poczucie niższości.

Nasze wewnętrzne poczucie drugorzędności nie bierze się znikąd – ma swoje korzenie w historycznych traumach: rozbiorach, niemieckich planach eksterminacji narodu (ideologii *untermenschen*, której na szczęście nie udało się nazistom w pełni zrealizować) oraz w doświadczeniu sowieckiego i komunistycznego ucisku. Dziś jest ono dodatkowo podsycane i utrwalane przez sposób, w jaki postrzega nas Zachód.

Mechanizm obronny wobec tego zjawiska trafnie opisuje pojęcie „społecznej mimikry”, o którym pisał Michał Buchowski (2006): „Polacy kopiują Zachód nie po to, by być sobą, lecz by przestać być ‘gorszym Wschodem’.” Chcemy za wszelką cenę zostać uznani za równych. Gdy Polak pragnie zaprezentować swoje racje, często powołuje się na to, co piszą *Der Spiegel*, *Le Monde* czy *The Guardian*, szukając w ich słowach zewnętrznego potwierdzenia własnej wartości. Opieramy się nie na własnej ocenie, lecz na tym, czy nasze przekonania znajdują potwierdzenie na Zachodzie. To nie jest zdrowa asymilacja, lecz nerwowe naśladownictwo, mające zapewnić legitymizację naszego standardu kulturowego.

Mimikra ta przekłada się również z poziomu indywidualnego na sferę polityczną. Jak zauważył bułgarski socjolog Ivan Krastev (2018), relacje w łonie Unii Europejskiej cechuje głęboka asymetria: „Bruksela traktuje Warszawę jak pacjenta, nie partnera.” Paradoksalnie, Krastev wypowiedział te słowa, stawiając Polskę jako przykład sukcesu godnego naśladowania dla Sofii.

To zewnętrzne piętno z czasem ulega internalizacji i jest reprodukowane w subtelny

sposób przez media działające w Polsce. Badania psychologiczne Jana Reykowskiego (2018) wskazują, że te „zinternalizowane tropy kolonialne” generują zbiorowe piętno i prowadzą do narodowej autoagresji – swoistej nienawiści do samego siebie. Trafnie uchwycił to Ryszard Kapuściński w *Imperium*: „Nienawidzimy w sobie tego, co Zachód nazywa ‘wschodniością’. Biegniemy ku niemu, ale on wciąż przesuwa metę.”

Nic dziwnego, że podświadomie staramy się uciec od tej świadomości, czując się wewnętrznie niewystarczająco dobrzy. Jak ustalili Pine i Bridger (1998), dla 42% młodych Polaków emigracja stanowiła swoistą „terapię od polskości”. Może to odzwierciedlać przekonanie, że żyją w kraju „gorszego sortu”, zarządzanym przez klasę polityczną, z której trudno czuć dumę, a która częściej budzi zażenowanie niż szacunek.

Złudne byłoby oczekiwanie, że prawdziwe uzdrowienie przyjdzie z zewnątrz – musi nadejść od wewnątrz. Jak ostrzegał Jacek Kuroń (2004): „Rana po komunizmie nie zagoi się, póki bandażem będzie flaga Unii Europejskiej. Musimy sami zdjąć opatrunków – nawet jeśli boli”. Być może nie wiemy jak, ale przeczuwamy, że będzie to proces bolesny i długotrwały. Najtrudniejsze jest to, że nie wiemy, od czego zacząć. Tragiczną pointę tego syndromu ujął Adam Michnik (1998): „Jesteśmy jak dziecko bite przez rodzica, które kocha go jeszcze mocniej. Zachód nas upokarza, a my wołamy: „Kocham cię! Uznaj mnie!”

Skutki tej społecznej mimikry są wymierne. Badania CBOS z 2020 roku wykazały, że 68% Polaków uważa, iż zachodnie media

przedstawiają ich jako „zacofanych, homofobicznych Europejczyków drugiej kategorii”. To tworzy błędne koło: zinternalizowany wstyd prowadzi do zachowań odbieranych na Zachodzie jako prowincjonalna i nieco żałosna imitacja jego wzorców, co następnie wzmacnia naszą negatywną samorefleksję i potęguje wewnętrzny niepokój.

Najtrudniejszą granicą, jaką Polska musi dziś przekroczyć, nie jest ta na mapie – lecz ta w umyśle: dopóki będziemy mierzyć swoją wartość cudzym wzrokiem, nie zbudujemy prawdziwej podmiotowości.

Nasza psychologiczna zależność skutkuje również brakiem siły mentalnej i intelektualnej, potrzebnej do tworzenia w pełni suwerennej polityki gospodarczej i geopolitycznej. To zaś spowodowało, że tak głęboko utarło się hasło „Polska gospodarka to montownia, nie twórca”. Jako „montownia” jesteśmy zmuszeni wiernie realizować instrukcje zewnętrznych centrów decyzyjnych. Nie podejmujemy samodzielnych decyzji strategicznych – dotyczących tego, dla kogo, co i jak produkować. Jesteśmy wobec tego faktu rozdwojeni i wewnętrznie skonfliktowani. Z jednej strony, przyznajemy, że na początku nie było dobrej alternatywy dla tego modelu – Niemcy wzięły nas pod swoje skrzydła i doprowadziły do szybkiego wzrostu dobrobytu, samemu budując na tym swoją potęgę gospodarczą, ku zazdrości Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch. Nie zmienia to jednak faktu, że zostaliśmy przekształceni z sowieckiej strefy wpływów w niemiecką strefę ekonomicznych interesów, nie ucząc się przy tym własnego, strategicznego myślenia. To, co

było mądrością etapu, dziś staje się poważną przeszkodą rozwojową.

Postkolonialna trauma paraliżuje nas psychologicznie, mentalnie i intelektualnie. Jesteśmy tak zapatrzeni w nasze historyczne zapóźnienie, w poczucie geopolitycznej krzywdy oraz w obsesję, „jak nas widzą z zewnątrz”, że nie wykształciliśmy w sobie zdolności patrzenia na świat oczami innych. Brakuje nam wewnętrznych zasobów – psychicznej swobody i intelektualnej przestrzeni – by podjąć ten wysiłek. A jest to zdolność kluczowa w geopolityce i stosunkach gospodarczych.

Polska, Ukraina i państwa bałtyckie pozostają dla Niemiec, Rosji, USA i Chin strefą buforową Europy, w której – chcąc czy nie chcąc – nadal będziemy tkwić. Nie dysponujemy dziś ani odpowiednim instrumentarium mentalnym, ani politycznymi horyzontami, by autentycznie wczuć się w interesy innych graczy: Rosji, Niemiec, ale też naszych bliższych sąsiadów – Litwy, Słowacji, Czech, Węgier – nie mówiąc już o globalnych potęgach. Nasze myślenie jest zbyt zawężone przez lęki i kompleksy, by objąć tak złożoną grę sił toczącą się wokół nas. Dopiero gdy zrozumiemy motywacje innych, zyskamy zdolność zrelatywizowania własnych interesów i ujrzenia ich w realistycznym, a nie emocjonalnym kontekście.

Jednocześnie fasada konsumpcyjnego pocieszenia i zewnętrznej walidacji nie jest w stanie wytrzymać narastającego ciśnienia wewnętrznego niezadowolenia i poczucia niedowartościowania. Miejscami ta fasada nieprzewidywalnie pęka, odsłaniając raz po raz kryzysy, letarg i zwątpienie. Powstaje więc

pytanie: jak zarządzać tą fasadowością, która mimo swej kruchości wciąż trwa i nieustannie się reprodukuje?

Kluczowe jest rozpoznanie, kto i w jaki sposób oddziałuje na ten mechanizm. W niedawnym artykule poseł Joanna Kluzik-Rostkowska słusznie wskazała, że znajdujemy się w stanie wojny hybrydowej – domyślnie mającej źródło w Rosji – i postulowała budowę społecznej odporności oraz instrumentów obronnych przed manipulacjami kognitywnymi². To trafna diagnoza, odnosząca się zresztą nie tylko do Polski. Trzeba jednak uświadomić sobie, że w sposób znacznie subtelniejszy i bardziej systemowy także Zachód wpływa na utrwalanie naszych relacji zależności – zarówno wobec Wschodu, jak i wobec siebie – kształtując nasze geopolityczne orientacje i podtrzymując zakorzenione wzorce myślenia.

Imigracja: szansa czy ryzyko?

Polska od stuleci zмага się z własnym obrazem – rozdarta między kulturową bliskością z Zachodem i tradycją łacińską a kompleksem niższości wobec Europy Zachodniej oraz lękiem przed zakwalifikowaniem do Wschodu. Gorączkowo odgradzamy się od tak zwanej kultury „turańskiej”, utożsamianej z Rosją, pocieszając się złudzeniem o własnej cywilizacyjnej wyższości. A może jednak nasza siła drzemie właśnie w tej niejednoznaczności – w trwaniu „pomiędzy”, niczym most zawieszony między dwoma brzegami?

² J. Kluzik-Rostkowska, *Wojna nowego typu – na czym polega, jak się na nią przygotować?*, „Pomorski Thinkletter” nr 2(21)/2025, [dostęp online].

Paradoksalnie, w zdefiniowaniu tego, kim jesteśmy, mogą pomóc nam właśnie przybysze z zewnątrz. Imigrant stawia przed nami lustro, w którym wyraźniej dostrzegamy własne rysy – zmusza do wydobywania tego, co w nas autentyczne, do nazwania naszych granic i wartości. Ich obecność może pomóc nam odnaleźć polskość, która nie będzie jedynie odtworzonym wzorem z Zachodu, lecz świadomym wyborem własnej, unikalnej drogi.

Imigracja od zawsze stanowiła życiodajne źródło potęgi Stanów Zjednoczonych. Wystarczy spojrzeć na współczesnych architektów cyfrowej rewolucji, takich jak Lip-Bu Tan (Intel), Jensen Huang (NVIDIA), Satya Nadella (Microsoft) czy Sundar Pichai (Google); do tego panteonu można dołączyć Elona Muska (Tesla, SpaceX), Petera Thiela (PayPal) czy Vinoda Khosłę (Sun Microsystems). Stanowi to wyraźny kontrast dla tradycyjnych branż amerykańskiej gospodarki, jak przemysł zbrojeniowy czy naftowy, gdzie przywództwo pozostaje w dużej mierze w rękach rodzimej kadry. Ich kariery są świadectwem niezwykłego potencjału, jaki niosą ze sobą imigranci – dzięki determinacji i wizjonerstwu nadawali kształt całym gałęziom światowej gospodarki.

Z drugiej strony, ta imponująca lista odsłania także słabość amerykańskiego organizmu – fakt, że społeczeństwo liczące 340 milionów ludzi nie jest w stanie zrodzić wystarczającej liczby rodzimych przywódców technologicznych. Przypomina to schyłek Cesarstwa Rzymskiego, gdy obcy – a nie swoi – zaczęli obejmować dowództwo nad legionami i kluczowe stanowiska w administracji, sięgając po najwyższą nawet godność cesarza.

Rzym nie runął pod ciosami równej mu potęgi, lecz rozsypał się od środka – wyczerpany moralnie, zdemoralizowany i poddany nieustannemu naciskowi plemion o niższym poziomie cywilizacyjnym.

Inny wymiar amerykańskiej imigracji to napływ osób o niskich kwalifikacjach, które utrzymują w ruchu tryby rolnictwa, budownictwa i usług. Ich praca, często niedoceniana, stanowi niewypowiedziany fundament amerykańskiego *prosperity* – zapewnia niższe koszty życia i pomaga okiełznać inflację. Nie jest to jednak strategia skuteczna na dłuższą metę. Nie można w nieskończoność importować najbiedniejszych, płacić im grosze i łudzić się, że to dla nich „wielka szansa” życiowa.

We Francji, Wielkiej Brytanii czy Niemczech ten model wyhodował nową klasę – prekariat: ludzi uwieczonych w pułapce niestabilności, z niskimi zarobkami, ograniczonymi perspektywami i słabym poczuciem więzi z krajem, który ich przyjął.

Imigracja ma jednak również ciemną stronę. W ślad za ludźmi przedsiębiorczymi podążają ci, którzy importują zorganizowaną przestępczość, tworząc etniczne gangi. Te z kolei sieją spustoszenie nie tylko w statystykach kryminalnych, ale i w lokalnych gospodarkach, podkopując zaufanie – fundament każdego zdrowego społeczeństwa. To jaskrawy sygnał, że jakakolwiek polityka migracyjna musi iść w parze z selekcją, silnym państwem prawa i skuteczną ochroną granic.

Dlatego Polska musi prowadzić politykę imigracyjną z rozważą i wyczuciem. Nie przyciągniemy jeszcze geniuszów biznesu

i technologii pokroju Muska czy Huanga – nie dorobiliśmy się bowiem odpowiedniego zaplecza naukowego, kapitałowego ani infrastrukturalnego. Trudno oczekiwać, by światowej klasy liderzy wybierali kraj, w którym przedsiębiorcy tacy jak Roman Kluska byli niszczeni przez aparat państwowy, podczas gdy talenty pokroju Jarosława Kutylowskiego (DeepL) czy Sebastiana Siemiątkowskiego (Klarna) rozkwitają za granicą.

A jednak Polska ma do zaoferowania coś, czego brakuje wielu zachodnim społeczeństwom – bezpieczne ulice, niski poziom przestępczości, społeczną stabilność i... brak kolonialnej przeszłości. Dla imigrantów z Afryki czy świata muzułmańskiego, którzy na co dzień mijają w Paryżu, Brukseli, Berlinie czy Londynie pomniki dawnych ciemężycieli swoich przodków, Polska może stać się miejscem psychologicznego wytchnienia – krajem, w którym przestrzeń publiczna nie jest naznaczona piętnem dawnej dominacji i pogardy.

Ten głęboko symboliczny wymiar – brak obciążenia kolonialnym dziedzictwem – może okazać się bezcenny w budowaniu mostów zaufania i autentycznej wspólnoty.

W tym kontekście można się nawet odważyć na zestawienie historycznych narracji: gdy Zachód wypomina nam rzekome demokratyczne niedostatki i antysemityzm, my możemy przypomnieć mu o jego własnym, brutalnym kolonialnym dziedzictwie. Dla imigrantów z Azji i Afryki taki głos mógłby być czytelnym sygnałem, że Polska jest miejscem innym – wolnym od duchowego balastu dawnych imperiów, z ich

wyzyskiem i upokorzeniem – otwartym na budowanie nowej, bardziej równoprawnej wymiany międzykulturowej.

Polska ma zatem szansę przyciągać młodych, ambitnych ludzi – inżynierów, naukowców, przedsiębiorców – oferując im nie tyle błysk metropolii z enklawami luksusu, co godne życie w poczuciu bezpieczeństwa i rosnącego komfortu.

Możemy przemawiać własnym, nie zapożyczonym głosem: jako kraj, który nie ma na sumieniu kolonialnej przeszłości, lecz sam był jej ofiarą, i który swą siłę buduje na fundamencie otwartości, pracowitości i solidarności – a swoje osiągnięcia rodzi z własnej inwencji, nie z cudzego dorobku.

W tym sensie powrót do idei dawnej Rzeczypospolitej – wielonarodowej, integrującej, tolerancyjnej i twórczej – nie byłby jedynie gestem nostalgii, lecz źródłem inspiracji. To właśnie w takim duchu może odradzać się nowoczesna polskość: świadoma swej tożsamości, a jednocześnie gościnna i zdolna włączać innych w projekt wspólnoty.

Przyjęcie starannie wybranej grupy imigrantów może otworzyć drogę do bardziej realistycznego spojrzenia na samych siebie i do prawdziwej jedności – tej, która rodzi się z odwagi spojrzenia w głąb własnej tożsamości. Nie, nie musimy za wszelką cenę być Zachodem – także dlatego, że jako Europejczycy musielibyśmy się często wstydzić jego dziedzictwa. Powinniśmy zrozumieć, że nasza „zachodniość” nie może być budowana na negacji „wschodniości”, ani na tłumieniu historycznych traum, lecz na świadomym,

pozbawionym kompleksów przyjęciu naszej wielowiekowej historii.

Na akceptacji tego, kim naprawdę jesteśmy – na tyle, na ile potrafimy się samookreślić i odnaleźć własną drogę między Wschodem a Zachodem. Jak pisał Jerzy Szacki w *Krytycznym patriotyzmie*: „Pokochać Polskę nie dlatego, że doskonała, ale ponieważ nasza.”

Prawdziwa siła Polski nie tkwi w naśladowaniu innych, lecz w odwadze bycia sobą – w odkryciu własnej tożsamości między Wschodem a Zachodem i uczynieniu z tej różnorodności źródła mądrości, a nie kompleksu.

Pokochać – ale za co? Może właśnie za to, że oprócz tego, iż jest (oby!) nasza, jest ona naszym ciągłym zadaniem – dziełem budowy i rekonstrukcji jej nowoczesnej formy, czerpiącej z dziedzictwa i ducha I Rzeczypospolitej. Z tego potencjału państwa i kultury, który rozkwitał od X do XVII wieku, a na skrzydłach którego zdołaliśmy – mimo przeciwności – powrócić na mapę Europy i odzyskać niepodległość.

Nie może to być powrót do przeszłości, lecz odnajdywanie w niej trwałych fundamentów dla przyszłości. Tylko taka przyszłość, świadoma swej zakorzenionej odrębności, może być autentycznie polska. W przeciwnym razie, bez pomysłu na nowoczesną polskość, pozostanie nam jedynie bierne przyjmowanie oferowanych nam – w nadmiarze – różnorodnych form „bycia Europejczykami”.

Nie powinniśmy wstydzić się, że pracujemy wciąż nad rekonstrukcją polskości. Przeciwnie

– powinniśmy czerpać siłę z poczucia, że odbudowujemy ciągłość i osiągamy namacalne postępy, nawet jeśli nie wiemy jeszcze dokładnie, dokąd prowadzi ta droga. To dzieło wciąż w trakcie tworzenia.

Potrzebujemy dziś nie powierzchownej mimikry i nie kopii cudzych wzorców, lecz głębokiej, autentycznej przemiany, wyrastającej z samoakceptacji i zdrowego poczucia własnej wartości. Dopiero wtedy uwolnimy się z sidła drugorzędności, a nasza polityka i głos na arenie międzynarodowej przestaną być echem cudzych oczekiwań, stając się wyrazem suwerennej woli opartej na twardym fundamencie podmiotowości.

Pora przestać gonić za zachodnim poklaskiem – prawdziwe uznanie rodzi się z szacunku dla własnej tożsamości. Być może polska dusza potrzebuje dziś nie tyle pustego hasła „chcę więcej siebie” – które w kulturze konsumpcyjnej sprowadza się do posiadania kolejnych atrybutów – ile wewnętrznego przełomu: cichej, nieodwołalnej deklaracji „chcemy być sobą, wreszcie”.

To nie jest wołanie o więcej, lecz wołanie o głębię – nie o kolejne dobra, lecz o pierwotną godność.

Zakończenie

W obliczu nadchodzących turbulencji Polska stoi przed wyzwaniem nie tyle technicznym czy ekonomicznym, ile cywilizacyjno-egzystencjalnym: jak zorganizować swoje siły, by w zmieniającym się świecie nie tylko przetrwać, lecz także dynamicznie rozwijać swój potencjał.

Odporność nie jest sumą decyzji politycznych ani efektem inwestycji w infrastrukturę.

Jest wypadkową zdolności społeczeństwa do przyswajania informacji, krytycznego myślenia, refleksji nad własnymi interesami i elastycznego reagowania. Z samej logiki demokracji, w której politycy zabiegają o poparcie wyborców dla realizacji swoich programów, wynika, że mentalność klasy politycznej odzwierciedla poziom świadomości i dojrzałości społeczeństwa.

Odporność państwa zaczyna się w umyśle obywateli – to zdolność wspólnoty do myślenia długofalowego, uczenia się i samonaprawy stanowi dziś najcenniejszy zasób strategiczny Polski.

Budowanie odpornej Polski wymaga zatem równoległego działania na kilku płaszczyznach: infrastrukturalnej, gospodarczej, społecznej i mentalnej. Polska może tworzyć sieci współpracy, hybrydowe modele gospodarcze, innowacyjne klastry i strategiczne partnerstwa, lecz ich skuteczność zależy od tego, czy społeczeństwo potrafi rozpoznać złożoność świata i adekwatnie na nią reagować. Odporność staje się więc nie tylko kwestią systemów i procedur, lecz przede wszystkim jakości myślenia zbiorowego.

W tym kontekście Polska ma szansę wyjść poza tradycyjne schematy i stać się krajem, który myśli w perspektywie długofalowej, w którym decyzje są adaptacyjne i modularne, a społeczeństwo jest zdolne do samoregulacji i samonaprawy. To wyzwanie nie może być domeną wyłącznie polityków, ekonomistów czy ekspertów – angażuje ono wszystkie sfery życia publicznego i prywatnego, o czym świadczy

działalność takich inicjatyw obywatelskich
jak Kongres Obywatelski, funkcjonujący od
dwudziestu lat.

Ostatecznie odporność Polski
w nadchodzących turbulencjach będzie
miernikiem nie tylko siły gospodarczej

i politycznej, lecz także głębi intelektualnej
oraz mentalnej elastyczności narodu. To, co
dziś wydaje się abstrakcją, jutro stanie się
fundamentem przewagi strategicznej – przewagi,
która nie polega na sile jednego punktu, lecz na
inteligentnym splocie niezależnych, świadomych
i sprawnych ogniw. ■

O AUTORZE

prof. **Mariusz Orłowski** – Wykładowca i badacz fizyki półprzewodników Virginia Tech University w Stanach Zjednoczonych. Od 1984 do 2008 r. pracował w przemyśle półprzewodnikowym w firmach Siemens, Motorola, STMicroelectronics i Freescale w USA, Niemczech, Francji i Rosji. Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Partnerzy

